Miasto Łódź ma Rubinsteinów

Irena Filus

DLA pani Neli czas jakby zatrzymał się w miejscu. A może nawet troszeczkę cofnął? Gdyby żył Artur Rubinstein, jej mąż, miałby w tej chwili sto lat. Kobiecych lat się nie liczy, w każdym razie, kiedy została żoną sławnego pianisty, była młodziutką dziewczyną, a on miał czterdzieści sześć. Rzuciła swego pierwszego męża, także pianistę i pedagoga, Mieczysława Münza, dla starszego od niego, o całych czternaście lat, „Arturo Wspaniałego". Czy postąpiła słusznie? Ona mówi, że tak. Historia to potwierdza. Münza wspomina się tylko jako byłego męża pani Rubinsteinowej. Artura Rubinsteina ma cały świat. Nela Rubinsteinowa to właściwie Aniela z Młynarskich. Jest córką Emila Młynarskiego, dyrygenta, skrzypka i kompozytora, a jednocześnie wspaniałego organizatora życia muzycznego. Wsławił się szczególnie cenną dla muzyki polskiej działalnością w Operze Warszawskiej, gdzie, pełniąc funkcję dyrektora, wystawił wiele dzieł współczesnych kompozytorów. Matka Anieli, Anna Hryncewiczówna, była jego sąsiadką z majątku Iłgów nad Niemnem.

Dokończenie na str. 9

Miasto Łódź ma Rubinsteinów

Dokończenie ze str. 1

— Właściwie było i trudno, i łatwo. Miałam przykład z domu. Mego ojca traktowano w nim jak Boga. Więc, kiedy wyszłam za Artura, to naturalną koleją rzeczy traktowałam go tak samo. Może nawet trochę za bardzo o sobie zapomniałam. Byłam kiedyś tancerką, dawałam nawet recitale. On, co prawda, uważał, że powinnam wykonywać swój fach, ale stało się to niemożliwe przy czworgu dzieciach... Ja chciałam przede wszystkim stworzyć mu prawdziwy dom, którego właściwie nie miał. Jako ośmioletni chłopiec został wysłany do Berlina. Sam się kształcił, sam się uczył życia. Ciepła atmosfera, jak się później okazało, była mu szalenie potrzebna — wspomina pani Nela.

Dlaczego „Nela". Na Zachodzie łatwiej było posługiwać się tym skrótem. Tak też nazywali ją domownicy. Nelą jest również dla przyjaciół. Ma ich wielu w Łodzi, mieście, w którym urodził się i spędził lata dzieciństwa jej mąż.

„Łódź to najbardziej kiedyś niezdrowe i niehigieniczne miasto, jakie tylko można sobie wyobrazić: nie było parków ani skwerów, alei ani miejsc zabaw dla dzieci. Powietrze zatruwały wyziewy z fabryk chemicznych, a unoszący się z kominów gęsty, czarny dym przesłaniał niebo, toteż nasz codzienny spacer z punktu widzenia zdrowia miał charakter czysto symboliczny. W nocy było jeszcze gorzej. Z braku nowoczesnego systemu kanalizacji, nieczystości wywożono z miasta w niewielkich żelaznych pojemnikach ciągnionych przez konie, co wypełniało ulice niezmośnym fetorem. Ale Noemi [kuzynka Rubinsteina — przyp. I.F.] i ja zupełnie innym okiem patrzyliśmy na wszystkie te niedostatki: kochaliśmy Łódź! Wydawało się nam, że fabryki to zamki ze wspaniałymi wieżami, carscy stójkowi to potwory, a przechodnie na ulicach — to poprzebierani książęta i księżniczki" — pisał we wspomnieniach Rubinstein.

Później, podczas każdego powrotu do rodzinnego miasta, artysta obdarzał je coraz łaskawszym spojrzeniem. I Łódź nabierała blasku, uroku, szlachetniała. A zresztą są w niej miejsca prześliczne, budowle mogące równać się z najpiękniejszymi perłami architektonicznymi Europy. Na przykład dawny pałac Izraela Poznańskiego, żydowskiego przemysłowca, w którym mieści się obecnie Muzeum Historii miasta.

Przed niespełna trzema laty, w 1984 roku otworzono tu pierwszą na świecie ekspozycję im. A. Rubinsteina. Jej historia zaczęła się jeszcze za życia artysty. Niestety, był już chory. Istniejący przy muzeum dział kultury muzycznej wysłał pod paryskim adresem list z prośbą o jakiś autograf bądź zdjęcie do zbioru. Na ten i następny list nie było odpowiedzi. Tymczasem pianista zmarł. I wtedy dopiero doszło do pierwszego wyjazdu pracowników muzeum do Francji. Chcieli tylko wypożyczyć kilka pamiątek dla zorganizowania wystawy biograficznej. Jakież było ich zdumienie, kiedy dowiedzieli się, że aż dwa tysiące eksponatów znajdzie się w Łodzi na zawsze, jako dar pani Rubinsteinowej. Z powodu dużego pośpiechu wybierał je osobisty sekretarz i jednocześnie kuzyn Neli — Artur Gromadzki. Tak że dopiero będąc w Łodzi zobaczyła, co dała. I to nie całkiem, bo do ekspozycji wybrano wówczas tylko około 500 darów.

O pamiątki po Arturze Rubinsteinie ubiegało się kilka krajów: Stany Zjednoczone, gdzie długo mieszkał i gdzie urodziła się dwójka jego dzieci; Izrael, w którym od wielu już lat odbywają się konkursy jego imienia; wreszcie Francja, która udzieliła mu na wiele lat gościny, pozwoliła rozwinąć skrzydła i gdzie zawsze był jego dom. Trudno więc się dziwić, że pani Nela łamała sobie głowę, jak by tu sprawiedliwie rozdzielić przedmioty, które otaczały ją przez całe życie, a nagle stały się dla świata bezcennymi skarbami. Myślę, że naprawdę trudno było podjąć decyzję. Kto wie, co działo się w jej sercu, aż do momentu, gdy wzruszona powiedziała w 1984 roku do otaczających ją łodzian:

— Kiedy tak patrzę na to wszystko, co w domu chowało się po kątach, a tutaj tak cudownie zostało wyeksponowane, to całe życie staje mi przed oczyma.

Z taśmy płynęły słowa Rubinsteina:

— Zwracam się do was z gadaniem... Lubię gadać, a nienawidzę pisać. I wszyscy na świecie to wiedzą...

Spod igły krążącej po czarnej płycie wypływały dźwięki. Na centralnym miejscu odlew rąk, wsparty na jaśniejącej w czerni plakatu klawiaturze. Mnóstwo zdjęć zrobionych przez najsławniejszych fotografików świata. Wiele w otoczeniu rodziny. Niektóre autorstwa córki Ewy. Dyplomy, ordery, doktoraty honoris causa, obywatelstwa honorowe: pośród tego ciekawostka — kilkanaście dyplomów The National Academy of Recording Arts and Sciences, z kolejnych lat, poczynając od 1962, na 1979 roku kończąc, za najlepszą interpretację instrumentalnej muzyki klasycznej. Ale najbardziej chyba wzruszającymi darami były osobiste rzeczy Rubinsteina — jego garnitury, koszule, krawaty, ulubione cygara z nazwiskiem, filiżanka do kawy, maskotki, wody kolońskie, komplet podniszczonych zdjęć, które zawsze woził ze sobą, chusteczki.

Ewa, Alina, Nela i John Rubinsteinowie w Łodzi.

Fot. Tomasz K. Komorowski

— Cóż ja mu mogłam dać — zwierzała się bliskim pani Nela. — On miał wszystko. Więc wyszywałam mu chusteczki z życzeniami udanego koncertu.

Za tę wystawę uhonorowano muzeum poważną nagrodą, uznając ekspozycję za najciekawsze wydarzenie roku 1984. Kiedy pojechałam do Łodzi po jakimś czasie, chciałam utrwalić ją w pamięci, ale okazało się, że... ekspozycję zamknięto, bezcenne pamiątki powędrowały z powrotem do skrzyń i trwa właśnie walka o trzy pomieszczenia, nie należące do muzeum, a pozyskanie ich jest wręcz koniecznością, jeśli te dwa tysiące darów ma kiedykolwiek ujrzeć światło dzienne.

* * *

Jest rok 1987. Styczeń. Miesiąc, w którym dokładnie sto lat temu Artur Rubinstein jako — wedle własnego określenia — „spóźniony i raczej nieproszony gość zapukał do furtki życia". Na domu przy ul. Piotrkowskiej 78, gdzie się urodził, błyszczy mosiężna tablica. Prawie dokładnie tam, gdzie nie tak dawno była umieszczona gablota reklamowa jednego z najlepszych szewców łódzkich. Nawet tutaj nie obyło się bez walki. No cóż, teraz sztuka jest takim samym rzemiosłem jak każde inne, a artystom nie przysługują bilety ulgowe w podróży do ludzkiej duszy.

Filharmonia Łódzka nosi (także po długich pertraktacjach) imię pianisty. Sala wypełniona do ostatniego miejsca. Na podium przed orkiestrą stoi John Rubinstein, najmłodsze dziecko Neli i Artura. Niezwykle młodzieńczy, emanujący radością życia jak ojciec. Dziś jego wielki dzień. Po raz pierwszy dyryguje na koncercie. Na pierwszy ogień idzie jego własna kompozycja — suita orkiestrowa z filmu „Amber Waves" (za tę muzykę otrzymał znaną nagrodę „Peabody"). Później koncert f-moll Fryderyka Chopina. Na sali siedzi przejęta pani Nela, jej najstarsza córka Ewa, młodsza Alina, oraz synowa, żona Johna — aktorka Judi West. Brakuje tylko Pauła.

Antrakt.

— Wy, dziennikarze, jesteście jak szakale — pani Nela robi ruch, jakby chciała pozbyć się natrętnej muchy.

— Podobno dzieci państwa rodziły się w najprzeróżniejszych zakątkach świata?

— A tak, Ewa w Buenos Aires, Paweł w Warszawie, tuż przed naszym półrocznym wyjazdem do Chin i Japonii. Miałam wtedy prawdziwy dylemat, czy jechać, czy zostać z trzytygodniowym niemowlęciem. Wybrałam męża. Był to ciężki okres, nie mogłam dość szybko otrzymywać wiadomości z Warszawy i denerwowałam się bardzo, mimo iż dziecko pozostało pod dobrą opieką. Alina i Jan urodzili się w Kalifornii, po dziesięciu latach przerwy. Miałam więc w domu dwie pary. A teraz najstarszy wnuk ma już 28 lat.

Prawdziwy zjazd rodzinny. Jedynie Paul, zajęty interesami, nie dotarł.

— Czy pani wie, że to imię na cześć skrzypka Pawła Kochańskiego, przyjaciela męża? Umarł wcześnie. Miał czterdzieści parę lat. Akurat urodziła się Ewa. On i Karol Szymanowski to byli dwaj najwięksi przyjaciele męża, prawie bracia. Później Artur już nie znalazł nikogo tak bliskiego.

Paweł jako jedyny z rodzeństwa nie zajmuje się muzyką. Jest biznesmenem, także świetnie gotuje. Napisał nawet trzy książki kucharskie. Ktoś musi być podobny do matki. Artur Rubinstein w drugim tomie swoich wspomnień, które, miejmy nadzieję, za rok będziemy mogli przeczytać w całości, pod niebiosa wychwala kulinarne talenty Neli: „Nela stała się jedną z najlepiej znanych gospodyń w mieście [Paryżu — przyp. I. F.]. Jej talent kucharski zwabiał do naszego stołu wszystkich smakoszy Francji".

— Jeśli chodzi o gotowanie, to Artur inspirował mnie bardzo, ponieważ uwielbiał dobre jedzenie. A objawiało się to różnie. Kiedyś, na przykład idę z jego ulubionymi kołdunami, a on pada przede mną na kolana. Mało brakowało, a byłby mnie razem z tacą przewrócił. Często i na różne sposoby przygotowywałam kurczęta. Za innym mięsem nie przepadał. Był natomiast amatorem zupy grzybowej. Gotowanie wiązało się z naszymi ciągłymi podróżami po świecie. Wspólny posiłek szalenie zbliża ludzi. Przecież wszystkie obrządki kończą się jedzeniem, czy to ślub, czy fetowanie narodzin lub stypa po śmierci... Zdarzało się, że siedzieliśmy przy stole, godzinami rozmawiając, bawiąc się z dziećmi, czasem nawet aż do następnego posiłku. I może między innymi dlatego, mimo wielu rozstań, stanowimy zżytą rodzinę.

— Podobno jest pani autorką książki kucharskiej?

— A tak. Jej tytuł brzmi: „Nela's Cook Book". Została wydana w USA. Miała niezłe recenzje. Może dlatego, że zawiera moje własne, wypróbowane przepisy. Najtrudniej było, gdy musiałam podać, ile czego trzeba wziąć do gotowania, bo ja wszystko robię na pamięć. Teraz także gotuję. Jeśli odwiedzam moje dzieci w Stanach, staram się ulokować blisko nich, aby mogły wpaść i najeść się do syta.

John wraca na podium. Do drugiej części wybrał „Walce szlachetne i sentymentalne" M. Ravela oraz „Amerykanina w Paryżu" Gershwina.

— Powiedziano mi, że jeśli ma być amerykańska muzyka, to koniecznie Gershwin, bo bilety lepiej się będą sprzedawać. Może na przykład „Błękitna rapsodia". Nie lubię jej. Pomyślałem: „Przecież jest to koncert z okazji setnej rocznicy urodzin mojego ojca. Był Amerykaninem i mieszkał w Paryżu". Niech więc będzie „Amerykanin w Paryżu" — mówi potem John.

Syna, podobnie jak ojca, cechuje duże poczucie humoru. Poza tym talent. Nigdy tak naprawdę nie studiował muzyki. Jego szkołą były podróże z ojcem, podsłuchiwanie go na próbach, codzienne stykanie się z orkiestracjami wielkich kompozytorów.

— I to wystarcza by komponować muzykę? Pisać nuty?

— To dlatego, że mam dobre ucho. No i może jestem też troszkę zdolny — odpowiada ze swadą. — Kiedy ojciec słuchał muzyki napisanej przeze mnie, pytał jak teraz pani: „Jak nauczyłeś się tego wszystkiego?" A ja odpowiadałem: „Przy tobie". To mu sprawiało przyjemność. I był ze mnie dumny.

John Rubinstein lubi pracować z reżyserami, którzy adorują muzykę, traktując ją jako ważne dopełnienie filmu. Taki jest Sydney Pollack. Współpracowali ze sobą przy filmie „Jeremiah Johnson". Niedawno w TVP oglądaliśmy „Lalczarkę" ze wspaniałą Jane Fondą. Czy ktoś zwrócił uwagę na planszę z napisem: „Music — John Rubinstein?" Mówi się o nim także jako o aktorze. Jak dotąd, aktorstwo jest to chyba najpoważniejsza jego rola życiowa, oceniona mnóstwem prestiżowych nagród, między innymi TONY za pomysłową i oryginalną grę w sztuce pt. „Children of a Lesser God". EMMY za sportretowanie postaci Jeffa Maitlanda w serialu nadawanym przez pięć lat w amerykańskiej telewizji, zatytułowanym „Rodzina". W 1981 roku John Rubinstein zadebiutował jako reżyser. Poza tym co tydzień Amerykanie słuchają jego głosu przez radio, gdzie prezentuje godzinny program „ATT Presents Carnegie Hall Tonight". Rozmawia w nim z ludźmi występującymi w nowojorskiej sali, czyniąc to w sposób niekonwencjonalny, pobudzając do zwierzeń. Który z tych zawodów najbardziej mu odpowiada?

— Właściwie nie wiem. Uwielbiam wszystkie. Żyję trochę tak, jak bym się ślizgał na fali. Robię to, co mi jest w danej chwili najbliższe. Nie mam dalekosiężnych planów. Najlepszy przykład to zaproszenie do Łodzi. I nowa rola — dyrygenta.

— Czy jest pan sławny w Stanach?

— Kiedy występowałem dość często w telewizji ludzie mnie rozpoznawali, w resturacji, na ulicy. Mówili: „To jest ten... Jakże mu tam..." Nie, raczej nie mam sławnego nazwiska — powiada żartobliwie.

* * *

Pani Nela zapytana, czy jej mąż w młodości rzeczywiście bardzo mało ćwiczył, odpowiedziała:

— Tak. Pracował rzeczywiście krótko, ale za to bardzo intensywnie. Dwie godziny u niego równało się pięciu, sześciu godzinom pracy innego pianisty. Twierdził, że nie może się skupić i pracować produktywnie dłużej niż godzinę, ale trzeba też przyznać, że miał wyjątkowe zdolności. Bardzo często z braku fortepianu pracował na... stole. Przypominam sobie naszą podróż pociągiem do Padwy. Jechaliśmy w ciągu dnia. Wieczorem miał grać koncert. Patrzę, a on przegląda jakieś nuty i uderza palcami w stolik. „Co to jest?" — pytam. „To sonata Beethovena" — odpowiada. — „Jeszcze jej nie słyszałem, a mam ją dzisiaj grać". I rzeczywiście, ku memu zdziwieniu, grał ją tego wieczora. Trzeba przyznać, że miał wyjątkową pamięć wzrokową. Kiedy grał, to jakby przewracał stronice w głowie.

— Czy Artur Rubinstein miał swoje ulubione utwory?

— Nie, raczej nie. Gdy grał, obojętnie, co to było, stawał się innym człowiekiem. Po prostu kochał muzykę. Ale nie poznał za wiele utworów. Pod koniec życia nawet to sobie dość często wyrzucał. Twierdził, że jest zbyt leniwy, że gdyby więcej ćwiczył w młodości, mógłby więcej osiągnąć. Uważał, że nie ma dość techniki i każdy uczeń z konserwatorium gra lepiej od niego. Oczywiście to nie było prawdą i ciągle musiałam go o tym przekonywać. Myślę, że nie mógłby i tak osiągnąć nic ponad to, co stało się jego udziałem. Nie wyobrażam go sobie zamkniętego w pokoju i ćwiczącego godzinami. Był człowiekiem, który umiał korzystać z życia. Miał wszechstronne zainteresowania. Lubił sztukę i literaturę. Na całym świecie mieliśmy wspaniałych przyjaciół. W jego grze była zawsze jakaś pogoda. Słuchacze to czuli. Na koncertach zawsze widziałam uśmiechnięte twarze.

(Dokończenie nastąpi)

Irena Filus